

O Giedroycia sporu nie ma

Z Radosławem Sikorskim, ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, rozmawia Andrzej Brzeziecki

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Pana polityka wschodnia bywa poddawana krytyce za nadmierną chęć dialogu z Rosją i osłabianie relacji z Ukrainą.

RADOSŁAW SIKORSKI: Czy tak poważne pismo jak „Nowa Europa Wschodnia” musi na serio traktować polityczne podchody w publicystycznym wdzianku?

Musi – bo one też odzwierciedlają prawdziwe spory dotyczące naszego zaangażowania na Wschodzie.

Proszę pamiętać, że w takich grach najczęściej stosowanym fortelem jest dokonywanie egzegezy pojedynczych zdań wyrwanych z kontekstu. Kwestie polityki wschodniej tłumaczyłem wielokrotnie i obszernie, wygłosiłem na ten temat dwa exposé, lecz, niestety, wśród moich oponentów nie widzę woli, by traktować moje słowa poważnie. A spójrzmy na fakty. Pod koniec listopada przyjechał do Warszawy minister spraw zagranicznych Ukrainy Petro Poroszenko. Złożył wizytę dopiero w listopadzie, bo wcześniej, jak powszechnie wiadomo, Ukraina przez wiele miesięcy nie miała szefa dyplomacji, a nie dlatego, że unikałem takiego spotkania. Otóż minister Poroszenko w publicznych wystąpieniach trzykrotnie podkreślił wdzięczność wobec Polski

za nasze działania na rzecz Ukrainy w Unii Europejskiej i wylewnie dziękował mi za osobiste zaangażowanie, między innymi za to, że na spotkaniu grupy przyjaciół Ukrainy w Brukseli popierałem jego stanowisko w sprawie liberalizacji ruchu wizowego.

Uważam, że ten szum, jaki się robi wokół mojej polityki wobec Kijowa, to wymachiwanie proukraińskością jak maczugą, są wyjątkowo oderwane od rzeczywistości. Pierwszą moją decyzją jako ministra spraw zagranicznych było obniżenie cen wiz dla Ukraińców, drugą – zniesienie opłat wizowych za wizy narodowe dla piętnastu kategorii obywateli Ukrainy. Dalej były inwestycje we Lwowie, które pozwoliły rozwiązać problem kolejek po wizę, wynegocjowaliśmy i wprowadziliśmy w życie trudną – bo napotykaną pewne opory Komisji Europejskiej – umowę o małym ruchu granicznym. Mimo kryzysu i zamknięcia dwudziestu placówek na świecie, na Ukrainie otwieramy dwa nowe konsulaty. Obecnie Polska wydaje Ukraińcom więcej wiz niż wszystkie pozostałe kraje Unii Europejskiej. Razem z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem byłem w Kijowie, by pomóc Ukraińcom w uzyskaniu umowy

stowarzyszeniowej. W ramach Trójkąta Weimarskiego podpisaliśmy list apelujący o ułatwienie Ukrainie uzyskania wsparcia z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Podpisaliśmy też umowy o szkoleniu ukraińskich urzędników, powstaje uniwersytet polsko-ukraiński... Mógłbym wymieniać dalej. Szkoda, że w Polsce zwykło się oceniać gromkie słowa, a nie konkretne działania.

Czy, parafrazując słynne powiedzenie Henry'ego Kissingera, ma Pan poczucie, że zna telefon na Ukrainę?

Numer do ministra Petra Poroszenki mam zapisany w swoim telefonie komórkowym. Nie tylko znam, ale go używam i to działa w naszych relacjach. Domyślałem się jednak, że Pan pyta o coś innego. Tak, Ukraina zmarnowała wiele z kapitału, jaki zgromadziła w okresie pomarańczowej rewolucji. Powszechnie wiadomo, że chaos i spory na ukraińskiej scenie politycznej, także – a może zwłaszcza – w obozie pomarańczowych, paraliżowały ten kraj. Dla porównania, spory w Polsce w poprzedniej dekadzie nie przeszkodziły nam wypełnić warunków postawionych przed akcesją do świata zachodniego. Konflikty nad Dnieprem są znacznie ostrzejsze i mają wpływ na działanie struktur państwowych. Na przykład, brak przez wiele miesięcy nominacji na ministra spraw zagranicznych Ukrainy pokazuje, gdzie tkwiły przyczyny niektórych trudności.

W ostatnich miesiącach stało się jednak coś niedobrego: marginalne

wcześniej głosy antyukraińskie uzyskały dostęp do *mainstreamu* polskiego życia publicznego. Czy nie niepokoi Pana ta, niezależna od rządu, zmiana atmosfery w stosunkach polsko-ukraińskich?

Na szczęście chyba jednak nie stały się częścią *mainstreamu*, jeśli definiujemy go jako politykę wzajemnych relacji prowadzoną przez nasze rządy. Podobnie jak w relacjach z naszymi innymi sąsiadami, pewne grupy próbują pomnażać kapitał polityczny, zagoszparowując resentymenty wyrosłe na podglebiu historycznych zaszłości, ale do tej pory odniosły umiarkowany sukces i wyłączenie w wymiarze medialnym.

Dlaczego w 2010 roku Ukraina otrzymała tak małe wsparcie z funduszu pomocowego?

Nasza pomoc rozwojowa jest mikroskopijna i wynika to z uwarunkowań historycznych. W gestii MSZ znajduje się sto milionów złotych przeznaczonych dla całego świata. Na szczęście są jeszcze inne resorty, które mogą przyznawać na przykład stypendia. Z kwoty, którą dysponuje nasz resort, 40 procent idzie na Afganistan, zaś około 20 procent na Białoruś, czyli właściwie na telewizję Bełsat. Ukraina dostaje mniej niż Białoruś, ale chyba można się zgodzić, że nadawać nieocenzurowanych informacji na Ukrainę nie musimy.

Na pomoc Ukrainie trzeba też popatrzeć z szerszej perspektywy – unijnej. Unia Europejska zaoferowała olbrzymie

inwestycje w sektor nośników energii. Szwecja przedstawiła program poprawy efektywności energetycznej, w którym będzie uczestniczyć też Polska. To ważne wsparcie dla Ukrainy, bo ten kraj zużywa średnio trzy razy więcej energii na jednego mieszkańca niż inne kraje kontynentu. 600 milionów euro z Partnerstwa Wschodniego, z których część trafi na Ukrainę, to też są pieniądze, których nikt wcześniej nie deklarował. Dodajmy jeszcze pożyczki Międzynarodowego Funduszu Wolutowego, przyznawane na niezwykle dogodnych warunkach – wszystko to tworzy nową jakość. Z drugiej strony, o naprawę dużych pieniądzech możemy porozmawiać w perspektywie finansowej na lata 2013-2020.

Pan nie przyjmuje też argumentu krytycznego wobec Partnerstwa Wschodniego, że w kwestii europejskich szans zrównuje ono Ukrainę z Azerbejdżanem?

Przede wszystkim nie przyjmuje go sama Ukraina, która ochoczo wzięła udział w Partnerstwie Wschodnim. Mówienie o Partnerstwie Wschodnim jako o projekcie słabym wynika, moim zdaniem, z niezrozumienia, czym jest Partnerstwo. Ono nie stanowi sufitu dla europejskich aspiracji poszczególnych krajów, ale oznacza praktyczną pomoc w dojściu do wypełnienia europejskich standardów. Podkreślam: Partnerstwo Wschodnie nie określa punktu docelowego, bo ten dla różnych krajów będzie inny. Ukraina aspiruje do Unii

Europejskiej, a Białoruś nie, ale oba kraje mają możliwość wypełnienia *acquis communautaire* w tych dziedzinach, w których chcą – na przykład w dziedzinie handlu.

Komisja Europejska przygotowała listę programów, na które będą rozdysponowane środki z Partnerstwa Wschodniego. Pierwszy program Partnerstwa w dziedzinie kultury już je otrzymał. Są także polskie propozycje, związane z walką z korupcją, współpracą rzeczników praw obywatelskich, tworzeniem prawa, szkoleniem urzędników i – co szczególnie ważne – zarządzaniem granicami, aby móc zrealizować ambicję ustanowienia strefy ruchu bezwizowego.

Niestety, sprawy związane z Partnerstwem Wschodnim są dość skomplikowane i trudno pozytywnie tego programu przeciwstawić topornej demagogii, która jest znacznie łatwiejsza w użyciu.

Czy pomysł powołania Forum Dialogu Polsko-Ukraińskiego jest odpowiedzią na krytykę opozycji?

Oczywiście, że nie. Takie fora powołaliśmy już wcześniej z Rosją, w ubiegłym roku z Czechami i Słowacją. Powołanie forum z Ukrainą wynika z naturalnej kolei rzeczy. Można raczej zapytać, dlaczego ci, którzy tak płaczą, że zapomnieliśmy o Ukrainie, nie realizowali takich projektów, gdy przez dwa lata byli u władzy.

Zatem krytykę Pańskiej polityki wobec państw Europy Wschodniej

traktuje Pan tylko jako przejaw wewnętrznej walki w kraju?

Nie chcę przeceniać stopnia kontroli, jaką mamy nad tymi procesami – mówię o budowaniu relacji ze Wschodem. Mamy jednak swoją wizję i priorytety. Partnerzy niekoniecznie muszą działać tak, jak byśmy sobie tego życzyli. O Ukrainie już mówiłem. Z Rosją też idzie nieźle – zarówno jeśli chodzi o Komisję ds. Trudnych, której współprzewodniczy Adam Daniel Rotfeld, jak i o otwarciu żeglugi na Zalewie Wiślanym czy o zniesienie embarga na nasze produkty, czy wreszcie o załatwianie spraw wywiadowczych bez awantur. Potrafimy też być bardziej stanowczy – mam na myśli wypowiedzenie umowy o nieruchomościach, dzięki czemu odzyskujemy działki w Warszawie. Stanowczo zareagowaliśmy także na manewry rosyjsko-białoruskie „Zapad 2009”, które przeprowadzono blisko naszych granic. Życzylibyśmy sobie, aby pozytywnych zjawisk było więcej niż negatywnych, na które zawsze będziemy odpowiadać adekwatnie. Myślę, że filozofia „jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie” znajduje tu zastosowanie.

Ci, którzy najgłośniej krzyczą o tym, że zatracona została spuścizna Jerzego Giedroycia, zapominają, że on nie proponował budowania relacji z Ukrainą czy Białorusią przy jednoczesnej programowej wrogości wobec Rosji. Optował za budowaniem dobrych relacji z naszymi sąsiadami i pojednaniem polsko-rosyjskim. Był przekonany, że te procesy mogą zachodzić równoległe. Taką politykę prowadzimy. Ma pan

rację, że jest ona krytykowana. Mogę tu przypomnieć choćby ostre ataki, które pojawiły się, gdy rozpoczęliśmy politykę otwarcia wobec Białorusi – byłem odsądzany od czci i wiary. Ale do dziś uważam, że trzeba było podjąć ryzyko, bo polityka wobec Białorusi jest obarczona ryzykiem. Póki co nie nastąpiło pogorszenie sytuacji czy to opozycji, czy Polaków na Białorusi, natomiast, jak się wydaje, Białoruś dywersyfikuje wektory swojej polityki. Myślę, że Giedroyc by się z tego cieszył.

W każdym razie nie negował potrzeby współpracy z Białorusią.

Niestety, są politycy, którzy uważają, że można rozmawiać tylko z tymi, z którymi się w stu procentach zgadzamy. Ja nie uważam, aby na tym polegała prawdziwa polityka.

Niech innym przykładem naszej aktywności na Wschodzie będzie Mołdawia. Byłem pierwszym ministrem spraw zagranicznych wolnej Polski, który odwiedził Mołdawię, i to dwukrotnie. Raz byłem tam bilateralnie, drugi raz z mandatem prezydencji Unii Europejskiej, po to, aby obiecać w imieniu Europy, że jeśli Mołdawianie przeprowadzą uczciwe wybory, to ich kraj otrzyma pomoc. Lipcowe wybory były uczciwe i pomoc jest – przekonaliśmy Międzynarodowy Fundusz Walutowy do udzielenia pożyczki. To są rzeczy naprawdę wpływające na rzeczywistość, a nie emocjonalne reakcje na bzdury, wypisywane po obu stronach naszej granicy.

Czemu jednak przywołując Jerzego Giedroycia i jego idee, tak rzadko pamięta się właśnie o tym, że nie był on antyrosyjski? Pan też tego argumentu wcześniej nie wysuwał.

Sam Giedroyc irytował się, że jego idee podlegają koniunkturalnym retuszom, choć tyłu polityków „wychowało się” na paryskiej „Kulturze”. Nie wiem, co mówiłby teraz, ale wbrew temu, co się powszechnie sądzi, uważam, że w Polsce nie ma sporu co do słuszności realizowania Giedroyciowej polityki wschodniej. Jest spór o metody działania i rozłożenie akcentów. Są tacy, którzy uważają, że gadaniem i symbolicznymi działaniami osiąga się wiele, i tacy, którzy sądzą, że to, co robimy, jest wielkim programem rozłożonym na wiele lat. Mówię o przyciąganiu cywilizacyjnym przez Zachód krajów Europy Wschodniej. Musi to być działanie mające skutki praktyczne, a nie tylko utkane z szumnych deklaracji.

Mówi Pan o akcentach i metodach, czyli o taktyce, a ponoć spór między zwolennikami idei jagiellońskiej i idei piastowskiej dotyka najgłębszych warstw polskiej tożsamości. Co ciekawe, idzie on też w poprzek innych podziałów – idei jagiellońskiej bronią na przykład publicyści „Gazety Wyborczej”.

Tak naprawdę nie widzę sprzeczności między ideą piastowską a jagiellońską, które to pojęcia sam przecież wprowadziłem do dyskursu publicznego. Obydwa mają uzasadnienie, ale ich realizację

trzeba rozłożyć na etapy. W poprzednim tysiącleciu realizacja idei piastowskiej, czyli włączenie się w krwioobieg Zachodu, zajęła nam dwieście lat, teraz zrobiliśmy to w dwadzieścia. Obecnie jest najlepszy moment, aby realizować ideę jagiellońską – dzielić się dobrodziejstwami integracji z naszymi wschodnimi partnerami.

Jestem głęboko przekonany i wielokrotnie o tym mówiłem, że realizacją idei piastowskiej jest zakorzenienie Polski w strukturach zachodnich, a promieniowanie stabilnością, procedurami, kulturą europejską na Wschód to realizacja idei jagiellońskiej. Jeśli zaś przyjmiemy, że polityką jagiellońską jest dzielenie się dobrodziejstwami naszego zakotwiczenia na Zachodzie z sąsiadami na Wschodzie, mój argument brzmi następująco: jedyną wykonalną wersją tej wielkiej idei, o którą zabiegamy, jest program rozszerzania Unii Europejskiej.

Ale uważam też – i z tego pewnie wypływają krytyczne wobec mnie głosy – że najwięcej zależy od samych partnerów. Jak dowodził Clausewitz, także na przykładzie Rzeczypospolitej, żadna siła zewnętrzna nie może zrobić za kraj więcej, niż może on zrobić dla siebie sam. Gdybyśmy w poprzedniej dekadzie nie zachowywali się odpowiedzialnie, nie dostosowali ustaw do *acquis communautaire*, nie zreformowali gospodarki, to choć nie wiem jak bardzo staraliby się nasi przyjaciele w Unii Europejskiej, nie zostalibyśmy do niej przyjęci. Odrobiliśmy tę pracę domo-

wą i możemy doradzać innym – jeśli zechcą się uczyć.

I nie dopuszcza Pan myśli, że kraje na Wschód od Polski należą do innego świata i ich systemy, choć z naszej perspektywy wadliwe, są tak naprawdę stabilne i pozwalają im funkcjonować?

Byłbym ostrożny ze słowem „stabilność”. Najstabilniejszym politycznie krajem na świecie jest już od kilku dekad Kuba. Stabilność niekoniecznie jest dobra. Podkreślałbym co innego – mimo wszelkich niedoskonałości Ukraina jest demokracją. Nikt nie jest już w stanie zawczasu przewidzieć wyników wyborów do parlamentu czy na stanowisko prezydenta tego kraju. Dlatego sądzę, że inne pozytywne przemiany zbliżające ten kraj do Unii Europejskiej też są możliwe.

Czy polską politykę wschodnią postrzega Pan jako część polityki zagranicznej, czy jako coś więcej – na przykład misję?

Naturalnie, że jest to część polityki zagranicznej, ale jednocześnie sukcesy, które osiągamy na Wschodzie, jak skuteczna mediacja w czasie pomarańczowej rewolucji czy przywództwo w procesie otwierania się na Białorusi, umacniają naszą pozycję na Zachodzie. Te kwestie są ze sobą powiązane, tak jak polityka zagraniczna jest związana z polityką wewnętrzną – każdy polityk może zrobić tyle, ile gotowa jest zaakceptować opinia publiczna i na ile pozwala mu kontekst polityczny. Polityka

zagraniczna jest sztuką osiągnięcia tego, co możliwe – wolę osiągnąć sto procent przy realistycznych założeniach niż nic, epatując deklaracjami jedynie słusznych racji.

Może czasem trzeba być mniej pragmatycznym? Prezydent Lech Kaczyński osobiście angażuje się we wspieranie gruzińskiego prezydenta Micheila Saakaszwilego, jakby nie oglądając się na kontekst – robi to, jak twierdzi, także w imię wartości.

Trzeba było się angażować, gdy Condoleezza Rice czy sekretarz generalny NATO, a nawet ja, przestrzegali prezydenta Saakaszwilego, by nie popełniał głupstwa. Gruzja dała się sprowokować do awantury, za którą największą cenę płaci ona sama.

Większość nieszczęść w polskiej historii też brała się z przeceniania naszych sił. Z kolei największe krzywdy wyrządzano nam, gdy obiecywano nam pomoc, choć nie było na nią żadnych szans. Nie uważam, aby progruzińskim działaniem było tworzenie iluzji, że możemy udzielić temu krajowi pomocy, w sytuacji gdy nie możemy tego zrobić. Dawanie obietnic bez pokrycia jest szkodliwe, bo zmienia kalkulacje tych krajów, tak jak na naszych kalkulacjach zaważyły zapewnienia w 1939 roku. Prawdziwym przyjacielem jest ten, kto doradza realistycznie, a nie ten, kto porusza się w krainie iluzji. Gdy przyszło co do czego, okazało się, że nawet tak potężny kraj jak USA nie

był w stanie materialnie pomóc Gruzji, więc tym bardziej Polska powinna miarkować deklaracje.

Czyli według Pana nawiązywanie do idei prometeizmu w Polsce nie ma już uzasadnienia?

O ile dobrze pamiętam mitologię grecką, Prometeusz wykradł bogom ogień i dał go ludziom, a za karę Zeus kazał przywiązać go do skały, gdzie każdego dnia sęp wygryzał mu wątrobę. Odmawiam któremukolwiek polskiemu politykowi prawa do skazywania Polski na los Prometeusza. Niech to robią na własny rachunek.

W jakim stopniu znajduje Pan zrozumienie u swych europejskich partnerów, gdy mowa o Europie Wschodniej?

My, Polacy, patrzymy z innej perspektywy – jesteśmy bardziej wyczuleni, mamy inne doświadczenie historyczne, wspólną granicę z krajami Europy Wschodniej. Mimo tych różnic nie jesteśmy jednak osamotnieni. Spotkanie grupy przyjaciół Ukrainy odbyło się w listopadzie w Brukseli, w ambasadzie Wielkiej Brytanii, z inicjatywy tego właśnie kraju. Dobrym przykładem są Niemcy, choć opozycja krytykuje współpracę z nimi. Jeżeli jednak minister spraw zagranicznych Niemiec jedzie ze mną do Kijowa, jeżeli Niemcy wyrażają zgodę na Partnerstwo Wschodnie – a są największymi płatnikami netto do unijnego budżetu, jeżeli konsultują z Polską pewne sprawy

w polityce względem Rosji, wszystko to oznacza, że w niektórych ważnych kwestiach nasze interesy są zbieżne.

Duże nadzieje można wiązać z nową koalicją. Po raz pierwszy w umowie koalicyjnej zapisano rozwój stosunków z Polską i aktywność Trójkąta Weimarskiego. Niemcy doskonale wiedzą, że dla nas najważniejszym tematem w sprawach zagranicznych jest Wschód. W Europie skuteczność osiąga się przez zdolność budowania koalicji. Jak słusznie zauważył pan prezydent, Europa, niestety, nie składa się samych Polsk.

Co chcemy osiągnąć w rozmowach z Białorusią, skoro Mińsk nie zgłasza aspiracji wejścia do Unii Europejskiej, a ta z kolei przestała naciskać na demokratyzację i poszanowanie praw człowieka?

Białoruś doskonale wie, że członkostwo w Partnerstwie Wschodnim jest uwarunkowane nie poprawą sytuacji w zakresie praw człowieka, a tak naprawdę liberalizacją. Najlepszym tego dowodem było przedłużenie – z zawieszeniem – sankcji wizowych dla białoruskich urzędników podejrzewanych o łamanie praw człowieka. Aleksander Łukaszenka nie może spokojnie przejść wobec faktu, że większość białoruskiego eksportu idzie do Unii Europejskiej i to w Europie Białoruś zarabia środki na opłaty za rosyjskie surowce. Nie może też lekceważyć ostatnich badań opinii społecznej, z których wynika, że Białorusini – pewnie nie bez związku z nową polityką Unii wobec ich kraju – coraz bardziej ciągną ku Zachodowi. Po raz

pierwszy w historii ponad połowa społeczeństwa Białorusi wybrałaby członkostwo w Unii Europejskiej niż jakikolwiek inny międzynarodowy związek – moim zdaniem dlatego, że zobaczyli, iż Europa jest gotowa się na nich otworzyć.

Ale co Polska chce osiągnąć, prowadząc politykę otwarcia wobec Białorusi?

Polska będzie bezpiecznym krajem, gdy będzie miała „Zachód” po obu stronach. W naszym interesie jest, aby naszymi sąsiadami były kraje demokracji, gospodarki wolnorynkowej, rządów prawa i poszanowania swobód obywatelskich. I aby współpracowały z Europą. Dotyczy to także Rosji.

Tyle tylko, że gdy Rosja mówi o sferze swych uprzywilejowanych interesów, a pod tym określeniem kryje się między innymi terytorium Europy Wschodniej, to nasz interes stoi tu w sprzeczności z interesem rosyjskim.

Rosja definiuje swoje interesy wedle własnego ich odczucia. Nie wiem, czy to jej służy, bo ustawiając się w pozycji konkurencyjnego wobec Europy centrum cywilizacyjnego, zmusza swych sąsiadów do dokonania wyborów, a to sprzyja nam – bo mamy atrakcyjniejszy model cywilizacyjny. Rosja traci swą miękką siłę na rzecz Unii Europejskiej.

Co mogłoby stanowić pozytywną ofertę Moskwy dla sąsiadów?

To, co wcześniej mówił Władimir Putin, a teraz powtarza prezydent Dmitrij Miedwiediew o modernizacji kraju, brzmi rozsądnie. Byłoby to w interesie i Rosji, i Europy. Pytanie tylko, czy te plany będą realizowane. W Rosji ściera się pewne idee i trzymam kciuki za tych Rosjan, którzy chcą, by ich kraj był szanowany za osiągnięcia, a nie za to, że sąsiedzi się go boją.

W kategoriach rosyjskich wizyta premiera Władimira Putina na Westerplatte i jego list do Polaków opublikowany w „Gazecie Wyborczej” były gestami w naszą stronę. Doceniamy to, choć chcielibyśmy więcej. Otworzyliśmy kanały dialogu z Moskwą i Rosja już wie, że Polski w Europie nie da się pominąć. To stwarza możliwość racjonalnych stosunków między naszymi krajami.

Oczywiście czasami będziemy się różnić. Nie ma powodów, by oczekiwać, że będziemy zadowoleni z manewrów wojskowych z udziałem dziewięciuset czołgów u naszych granic, zwłaszcza że my dziewięciuset czołgów nie mamy. Natomiast wybiegając myślą dalej, poza horyzont wyznaczany bieżącymi kwestiami, wołałbym, aby Rosja na wyłaniającej się nowej geopolitycznej mapie świata stała się częścią europejskiego ośrodka cywilizacji. 🏰

Radosław Sikorski jest ministrem spraw zagranicznych RP w rządzie Donalda Tuska. Był przewodniczącym Uczniowskiego Komitetu Strajkowego podczas wydarzeń bydgoskich w marcu 1981 roku. Na emigracji w latach osiemdziesiątych

pracował jako korespondent angielskich mediów, między innymi w Afganistanie i Angoli. Wielokrotnie nagradzany jako dziennikarz. Wiceminister obrony w rządzie Jana Olszewskiego i wiceminister spraw zagranicznych w rządzie Jerzego Buzka. W latach 2005-2007 minister obrony w gabinetach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Autor książek: *Prochy świętych – podróż do Heratu w czas wojny* (1995), *The Polish House – an Intimate History of Poland* (1998) oraz *Strefa zdekomunizowana – wywiad rzeka* (2007).